

TYGODNIK ILLUSTROWANY



№ 128.

Prenumerata w Warszawie:
Rocznie rsr. 8, półrocznie rsr. 4, kwartalnie rsr. 2,
miesięcznie kop. 67 i pół.

Warszawa, 8 marca 1862 r.

Prenumerata na prowincyi i w Cesarstwie:
Rocznie rsr. 12, półrocznie rsr. 6, kwartalnie rsr. 3,
Koperta oddzielna 2 rsr. rocznie.

TOM V.

TREŚĆ NUMERU.

Dawne ubiory i uzbrojenia (drzeworyt). — Kronika tygodniowa. — Kilka kartek z wycieczki po kraju (z dwoma drzeworytami) ciąg dalszy. — Wodotrysk w Pradze Czeskiej (z drzeworytem). — Widziadło szczęścia, powieść społeczna, przez Felicjana (ciąg dalszy). — Aleksander Stadnicki — Reka rękę myje (z drzeworytem). — Szachy i rebus.

Kronika tygodniowa.

Zapusty... (jak to dziwnie brzmi ten wyraz) zakończyły istnienie swoje mnóstwem małżeństw. W tych ostatnich dniach syn Bachusa i Wenery pomścił się za wszystkie dawne krzywdy swoje, i pochodni mu nie starczyło na ciągle gaszenie i zapalenie jej nanowo.

Chciałbym żeby mi kto rozwiązał pytanie, które nieraz sobie zadawałem.

Oto, kiedy należy więcej czcić Hymena, czy wtenczas gdy gasi, czy kiedy zapala pochodnię?

A i druga, daleko jeszcze ważniejsza nastęrcza mi się przytęm kwestya.

Dlaczego miłość ma przepaskę na oczach, a Hymen nie?

Mnie się zdaje że to właśnie Hymenowi raczej niż miłości przystało z przepaską na oczach chodzić. Używając dwóch wyrazów wielce dziś w modzie będących, powiem że miłości przepaska jest tylko konwencyonalną, podczas kiedy przepaska Hymena byłaby utylitarną, w całym znaczeniu tego wyrazu.

Prawda, zapomniałem że i Hymen nosi zasłonę, ale ta w żadnym razie przepaski nie zastąpi, tém bardziej że od jakiegoś czasu w noszeniu tej zasłony znalazła pewna innowacya: już ona nie wdzięki, tylko kieszeń przestania; lubo w takich rzeczach wstępujący w związki małżeńskie mają wzrok tyle bystry, że na długi jeszcze czas przed zapaleniem pochodni, przejrzają cienkie jej włókno.

Ależ... wracając się do owych małżeństw, zapytacie mnie kto się żeni?

Czyliż ja wiem? Dość na tém że ślubów odbyło się mnóstwo.

W przeszłą niedzielę zaszedłem do kościoła św.

Krzyża. Spóźniwszy się, trafiłem na ostatnią mszę czytana, którą trafnie oznaczono dobitnym wyrazem *mszy leniwców*. Bo i w istocie, na tę mszę uczęszczają tylko ci, którzy późno wstają, którzy ruszają się powoli.

Otóż przez cały prawie czas trwania mszy kapłan wygłaszał z ambony nowe zapowiedzie. A było ich mnóstwo, nazwiska leciały jedno za drugim, jak liście spadające z drzew na jesień, jak krople drobnego deszczu na drugi dzień Zielonych świątek, jak ostrzygi u Stepkowskiego około godziny dwunastej

Chociaż wiele osób znam w Warszawie, każde niemal z tych nazwisk było mi obce; lecz postawiłem sobie ten nader logiczny pewnik, że ponieważ nazwiska istnieją, więc i indywidualia ozdobione nimi muszą istnieć także. A ponieważ zapowiedzie wygłaszają się z ambony, więc i śluby muszą po nich następować, bo któż kiedy słyszał o zapowiedziach bez ślubu? Z tego prosty wniosek, że początek zeszłego tygodnia uczynił w Warszawie wielu szczęśliwych, którzy będą sobie miodem pierwszych dni pożycia osładzać postne umartwienia.

Pocieszającą czytelnikom naszym donoszę wiadomość, iż zaniedbana przez pewien czas gałęź wchodowego handlu, zaczyna się znów odżywiać. Chcę tu mówić o winie szampańskim. Lubownicy szacownego tego trunku, znużeni zbyt długą przerwą, rozpoczynają napowrót libacje, i wesolęm pukaniem korków osładzają sobie nudne chwile życia. Wzorem tu i pobudką jest kilku wysłużonych w znamienitej sztuce zabijania czasu weteranów, którzy gromadzą w koło siebie młodszych i niedoświadczonych, starając się na dobrą naprowadzić ich drogę.

Pochwalamy te usiłowania, bo też zawiłe już mówiono u nas o pracy i *chęci* poprawy. To i nudnem się staje na końcu. Wszakże człowiekowi jedno jest tylko dane życie, na tej ziemi przynajmniej, a jak zacznie je marnować na użyteczne uczynki, to cóż pozostanie na zabawę? Wszakże co Pan Bóg stworzył, dobrem jest. Więc jeżeli kazał winu musującemu rodzić się w Szampanii, albo natchnął krajowe fabryki zbawienną myślą zaradzenia niedostatkom natury sztuką, to na to, ażebyśmy owo wino sztuczne czy naturalne starali się wypić. A wreszcie trzeba protegować handel winne i tym podobne zakłady, bo mogłyby upaść, a ważna gałęź bogactwa krajowego runęłaby z niemi. Niedziw przeto że śnia-

DAWNE UBIORY I UZBROJENIA.

(Dalszy ciąg).

(Zebrał i rysował Juliusz Kossak).



Nr. 17.

Wiek XIV. Uczta. Rysunek wzięty ze starych drzeworytów do legendy o św. Jadwidze.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

w południe, jak pieniądze do kantorów loteryjnych przed ciągnięciem losów na dobra Szymanowskie, jak ogłoszenia w Kuryerze o przysmakach świeżo pojawionych.

danka znowu wchodzą w użycie, bo i cóż zresztą robić z pieniędzmi, których ciągle mamy zawiele?

Ci zaś panowie, co tak dobrym dla nas stają się przykładem i tak zbawienny wpływ wywierają, nie-

chaj tym razem wybaczą że nazwisk ich nie podajemy czi i wdzięczności współczesnych i potomnych. Lękamy się obrazić waszą skromność, szlachetni mężowie, (że użyję tu stylu zwykle w podziękowaniach dla doktorów w Kurjerze przyjętego), bądźcie jednak zapewnieni, że pamięć o was nie wygaśnie i że prędzej czy później hołdy należne was nie miną.

Bo wszystko na tym świecie musi odnieść zasłużoną nagrodę, dowodem tego dobry interes jaki zrobił niedawno właściciel pewnego domu w Warszawie.

U jegomości tego pomiędzy porządnymi lokatorów zablakał się, niewiadomo jakim sposobem, rzemieślnik obarczony siedmiorgiem dzieci i niebardzo świetnie stojący w interesach. Roboty brakło, choroby nie wychodziły z domu, a biada wzrastała, więc i opłata komornego musiała zalegać. *Redde quod debes*; wiekopomna ta maksyma tkwiła silnie w umyśle pana właściciela. Był to zapewne jedyny ślad nauki starożytnych języków, który z wykształcenia szkolnego w nim pozostał. Po daremnym wezwaniu o oddanie pieniędzy, zesłany komornik zajmuje stolarzowi wszystkie rzeczy, jego zaś samego, wraz z chorą żoną i siedmiorgiem dzieci, wyrzuca na bruk.

Komornego należało się złp. 400. Po sprzedaży rzeczy i obliczeniu kosztów, okazało się *czystego zysku* złp. 49 gr. 44; ale gospodarz postawił na swoim, i niegodziwiec stolarz surowo ukarany został za to, że mu roboty brakło i miał żonę chorą. Niechaj to służy za przykład innym podobnego rodzaju przestępcom przeciwko ogólnie uznanym prawom. Dobrze powiedział jeden z nowoczesnych moralistów:

„Tylko ten co ma pieniądze, może i powinien zaciągać długi. Człowiek nie posiadający pieniędzy, nie powinien być niczym dłużnikiem, bo z czegoż dług zapłaci? Postępowanie więc tych, którzy pożyczają albo pozostają winni nie mając pieniędzy, jest nadużyciem dobrej wiary publicznej, a nadużycia takie powinny być karane.“

Złota maksyma: kto niema pieniędzy, niech umiera z głodu, to jego obowiązek, a niech nie naraża na szwank bogatszych od siebie. Ucywilizowane nasze społeczeństwo nie cierpi przewinień tego rodzaju.

A jednak widać w Warszawie nie wszyscy jeszcze są tego zdania; zawiązała się bowiem niedawno spółka, celem budowania wygodnych a tanich mieszkań dla ubogich rzemieślników i wyrobników. Nazwiska akcyonaryuszów tej spółki są poręką, że przedsięwzięcie nie spełni na próżnych przyrzeczeniach, ale niezawodnie dojdzie do zamierzonego celu, w sposób najlepiej odpowiadający potrzebom niezamożnej naszej ludności; są to bowiem wszystko majątni obywatele tutejsi, dobrze znani ogółowi ze skwapliwości w niesieniu pomocy bliźnim. Wprawdzie nie dorównają oni żadną miarą poświęceniu tych, którzy, jak wyżej wspomnieliśmy, tak skutecznie wspierają handel winne, ale na tym Bożym świecie każdy czyni co może i jak umie.

Wiele teraz rozpisują się ludzie o wychowaniu publicznym. Jeden z tych, którzy bardzo dawne jeszcze czasy pamiętają, komunikował nam w tym względzie dość ciekawy artykuł, z którego przytaczamy niektóre wyjątki.

Pięćdziesiąt lat temu, autor artykułu oddany został na naukę do jakiejś panny Zarembianki, stariej szlachcianki, która rodzaj szkoły w pobliskim miasteczku utrzymywała.

Gdy panna Stoińska, (słowa są korespondenta) rezydentka w domu ciotki mojej, odwiozła mnie na miejsce przeznaczenia, widok nowego otoczenia wzbudził we mnie pewien rodzaj obawy. Sama panna Zarembianka, pergaminowej twarzy, oczu siwych, małych, przenikliwych, wcale nie miała łagodnej postaci. Ubrana była w obszerny szlafrok królikami podbity i w ogromny czepiec z żółtymi, wybladłymi wstążkami, w rękę zaś jej wisiała na temblaku, nigdy jej nie opuszczająca, jakby do ciała przyrośnięta, na sarniej nodze osadzona dyscyplina. Smutne to pięciopięciorzemiennie szkolne narzędzie nieustannie było w ruchu, od rana samego do nocy. Za pomocą niego dojrzała panienka wkładała w głowy elewów swoich litery abecadła, rachunki, wokabulary łacińskie, bo i te umiała, przytęp przystawiała do paciera, czystości, porządku, spokojności i ślepego dla starszych postuszeństwa. Każde zapomnienie, każda zniewaga, niepilność, niedbałość, karczone były natychmiast pewną liczbą plag; już za pojętego ucznia uchodził ten, co przy nauce czytania otrzymał tylko plag sto. Co sobota wreszcie obrachunek sumienia co do sprawowania się, i znowu plagi, znowu przeróżne kary.

Pierwszego zaraz wieczora ośmieliłem się w dobre mi wiadomym zdarzeniu, które w naszej wiosce zaszło, sprostować zdanie panny ochmistrzyni.

— Jak to! zawołała w gniewie, ty śmieiesz, smar-

kaczu, poprawiać starszych! Hala! mój panie, tego za wiele! Polóżno się kochanku na kuferku pod plagi.

Nie było co robić, trzeba się było samemu położyć, karę wytrzymać i jeszcze końce pantofelków pani professorowej (tak się bowiem kazała nazywać) z wdzięcznością i pokorą, bez płaczu ucałować, dziękując za karę.

Nazajutrz rano, zapytany o coś, nie umiałem odpowiedzieć i sucho odrzekłem:

— Nie wiem.

— Tak się nie odpowiada starszym, nygusiel! zawołała pani professorowa, i znowu plagi, z tą samą co i wczoraj ceremonią.

— Jakżeż mam postępować, wielmożna pani? zawołałem rozżalony, zanosząc się od płaczu, co mam robić aby plag uniknąć, kiedy bity jestem za to co wiem, i za to czego nie wiem?

— Nie być ani mądrym, ani głupim, krzyknęła zapierzona panna Zarembianka, a żeby to ci się dobrze w pamięć wbiło, otrzymasz podwójną liczbę rązów, i to surowcówką.

W mgnieniu oka weszły z kuchni dwie barczyste służki, rozciągnięto mnie na ławie i niemiłosierną otrzymałem chłostę, za którą znowu dziękować trzeba było.

Nie myślcie jednak, czytelnicy, dodaje wdzięczny elew, żeby panna Zarembianka złą była osobą. Bynajmniej, poczciwa to była dusza. W wojnie z roku 1812 chodziła po szpitalach, opatrywała rannych, niejednemu z biednych jeńców wojennych, co ich grodmami gnano, wsunęła dukacika z funduszu na krwawej uciulanego pracy. Sama uboga, zawsze żywiła przy sobie to jaką biedną wdowę, to kogo ze swjej rodziny. Serce miała dobre, ale dzieci karała bez miłosierdzia, bo taki był duch czasu, takie wyobrażenia, takie miała przekonanie.

Ciekawą może będzie rzeczą dodać, co wtedy kosztował taki pensjonarz. Urodzona Brygida Zarembianka brała tytułem emolumentu za jednego pensjonarza dukatów hollenderskich dwanaście.

Dla mnie na wikt dawano: mąki żytniej korce trzy, mąki pszennej ćwierć, kaszy jęczmienniej ćwierć, kaszy hreczanej ćwierć, jagiel ćwierć, słoniny poleć, jaj kóp dwanaście, rzepy dwa korce, na olej złotych cztery, na mięso złotych ośmnaście, na świece złotych sześć, na papier złotych trzy.

Na kolebę przywoziliśmy dla panny Brygidy po parę skórek cielęcych na trzewiki, garnuszek masła, dzbanek grzybów, śliwek suszonych kwartę. Dla kucharki dawaliśmy po dwa séry, mendel jabłek i płótna na ściarki łokci dwanaście, albo przedży cienkiej lnianej, a że ona nam naprawy garderoby uskuteczniała, więc na igły i nici po złotych dwa.

Najdrożej więc rachując, każdy z nas kosztował rodzicow rocznie złp. 450. Edukacya taka uważana nawet była za zbyt kowną, bo daleko jeszcze taniej można ją było pobierać, a po dwóch latach takiej nauki, która i tysiąca złotych w ogóle nie kosztowała, przyjęty zostałem bez żadnej trudności do księży pijarów do klasy drugiej. A i nauczyciele dobrze się mieli z tego, bo panna Zarembianka, jak gloszono, posiadała w ukryciu znaczne pieniądze w gotówce.

Dzisiaj, powiada dalej nasz korespondent, jest u mojej córki guwerner, człowiek bardzo miły, ukształcony, wielki ekonomista, liberalista, polityk, bo cały dzień nad gazetami siedzi, który za naukę jednego chłopca Tadzio, bierze, oprócz wygód, 3000 złp. pensyi. Miałem obok nich pokój i przysłuchiłem się następnej lekcji.

Guwerner. Kochany Tadzio, chciej mi powiedzieć ile mamy części świata?

Tadzio. A jak nie powiem?

Guwerner. To się będę gniewał na Tadzio.

Tadzio. I cóż mi to szkodzi?

Guwerner. Ja myślę że Tadzio tak grzeczny chłopczyk, iż mu to będzie przykro.

Tadzio. Wcale nie, to mnie nic a nic nie obchodzi.

Guwerner. Ale mama się zmartwi, gdy jej o tym powiem.

Tadzio. Mama nie umrze ze zmartwienia, a na pana się skrzywi.

Guwerner. Ale Tadzio wie że nauka każdemu potrzebna.

Tadzio. I... niekoniecznie. Tatko mówił, że pan N. był w szkołach wielkim osłem, a teraz ma pieniądze i tatko i mama bardzo go szanują.

Guwerner (zakłopotany). Jak Tadzio wyda lekcya, to mu dam co lubi.

Tadzio. Daj pan naprzód, bo tatko mówi że nie darmo na tym świecie.

Guwerner. A cóż mam dać?

Tadzio. Daj pan papierosa.

Guwerner. Ale Tadzio wie że młodym nie przystoi palić papierosy.

Tadzio. Co młody winien że się później od starszych urodził. Dawaj pan.

Guwerner (podając mu papieros). Ileż mamy części świata?

Tadzio. Pięć—dopóki szóstej, na utrapienie uczniów, guwernerowie nie wynajdą.

O temporal o mores! woła dawny elew panny Brygidy, przytoczywszy te dwa przykłady.

Zapewne, jest w tém coś prawdy, ale nie dowodzi to, żebyśmy koniecznie do czasów panny Zarembianki wracać musieli. Jeżeli wychowanie drożej teraz kosztuje, wina to biegu czasu, Kalifornii i różnych innych jeszcze okoliczności, któreby zbyt długo było tu wyluszczać. Co zaś do owjej sławnej dyscypliny na sarniej nóżce, nie sądzę żeby ona tak konieczną grać powinna rolę w kształceniu młodzieży i mniemam że działo się z nią jak z Burbonami we Francyi, gdzie jeżeli dobrze szły rzeczy, to nie z powodu Burbonów, ale raczej *po mimo* Burbonów. Ciekawe jednak w każdym razie to zestawienie, i nie przeczę że w obecnych okolicznościach w niejednym naszym obywatelskim domu znajdzie się taki Tadzio i taki guwerner. Toż właśnie jest najważniejszą rzeczą, żeby w wychowaniu dzieci z gruntu zaprowadzić reformę, bo inaczej przejdą pokolenia za pokoleniami, a wszystkie podobne do siebie, jednakie też wydadzą owoce.

W niektórych miejscach na Kujawach obywatele sprowadzają do nadzoru ochronek i szkolek zakonne. Korespondent donoszący o tém żąda od nas, żebyśmy zachęcili i poparli ile możności ten pomysł.

Każda myśl w dobrych celach podjęta chwalebna jest, nie zdaje nam się jednak żeby wybór tego rodzaju łączył w sobie warunki potrzebne dla tych, co mają przewodniczyć ochronkom lub szkółkom.

Gdyby młodzież uczęszczająca do tych zakładów składała się wyłącznie z płci żeńskiej, jeszczeby może zakonne mogły odpowiedzieć swojemu zadaniu, chociaż brak znajomości praktycznego życia i jednostronny punkt zapatrywania się, zawszeby im utrudnił spełnienie tyle mozolnych obowiązków. Ale ochronka albo szkołka wiejska, to nie pensya, podobna do tych, jakie powierzane bywają wychowaniu zakonnemu. Tam praktyczność przedewszystkiem największą gra rolę, praktyczność, którą klauzura zakonna zupełnie prawie wyklucza. Może przytęp wyłączone pokierowanie umysłu tych młodych istot ku jednemu tylko rodzajowi pojęć, niezupełnie zbawieny wywarłoby wpływ, gdy w późniejszym czasie przyjdzie im się łamać z najtwardszą stroną tego życia, które w tylu odmiennych barwach, od góry do dołu idąc, nam się przedstawia. Zresztą opieka nad ochronkami i szkołkami, a nawet nauczanie w nich, zawsze podobno najodpowiedniejszem będzie zajęciem dla znacznych obywateli i dziewic naszych. Pojęły też one szlachetne swe zadanie tak, jak pojętem być powinno, i mamy nadzieję, że w czuwaniu nad dobrem włościan, w pokierowaniu ich oświatą, nikomu obcemu wyręczyć się nie pozwolą.

KILKA KARTEK Z WYCIECZKI PO KRAJU.

Ogrodzieniec i Podzamcze.—Pilica.—Smoleń.—Gieblo, Lgota murowana.—Morsko.—Skarzyce.—Kromolów.

(Dalszy ciąg.)

O dobrą milę drogi od Ogrodzenia, leży miasto Pilica, u źródeł rzeki której nadało, lub od której wzięło nazwanie. Nie można wątpić że osada ta od niepamiętnych istnieć musiała czasów, jakkolwiek zbywa na piśmiennych świadectwach, stwierdzających jej istnienie w pierwszych chrześcijaństwa naszego wiekach. W XIV wieku Pilica—czyli jak wówczas nazywano: *Pilcza*, była siedzibą jednej gałęzi potężnych Toporczyków, która od tego dziedzictwa Pileckich nosiła miano.

Podług powszechnego mniemania miasto nie stało pierwotnie na tém co dziś miejscu, lecz na przeciwnej prawej stronie doliny Pilicy, na wzgórzach, gdzie dotąd wznosi się drewniany kościółek św. Piotra i Pawła. Stwierdzają to i akta teraźniejszego farnego kościoła, w których już pod rokiem 1432 znajduje się wzmianka o nowiej i stariej Pilczy (*„nova et antiqua Pilcza“*), jak niemniej że rzeczonemu kościółek istotnie na gruncie dawnego stał miasta. Trudno przypuścić ażeby wtedy zamek wznosić się miał na tém gdzie dzisiejszy miejscu, doliną od miasta przedzielony, tém bardziej że położenie to nie odpowiadało wcale tamtowiecznym twierdzy warunkom. Dłatego to s. p. Roman Hubicki, w swoim artykule p. t. „Opis trzech zamków,“ w kalendarzu Jaworskiego na rok 1857 i 58 umieszczonym, przypuszczał że Pilica ciągnąć się mogła wzgórzami, więcej niż na pół mili długości, aż do teraźniejszej wsi Smolenia, i że dziś

smoleńskim zwany zamek, kiedyś pileckiego nosił nazwanie. Przepuszczenie to przecież, żadnym nieoparte dowodem, utrzymać się nie może, raz dlatego, że niepodobna przyjąć tak wielkiej rozległości dla Pilicy, w czasach kiedy największe nawet miasta na szczytłej ścisłały się przestrzeni; powtóre że również trudno przypuścić, ażeby o dawniejszej nazwie zamku, gdyby istotnie z czasem nastąpiła jej zmiana, nie przechowała się najmniejsza, bądź piśmienna, bądź ustna tradycja. Posadą pierwotnego pileckiego grodu był bezwątpienia niezbyt wielki, jak gdyby ręką ludzką usypany wśród doliny kopiec, ślady wyraźne szanów na sobie noszący, na którym, jak sam Hubicki wspomina, przed sześćdziesiątą laty folwark się mieścił. Takie to szczytule, zewsząd moczarami otoczone wzgórza, lub umyślnie sypane kopce, służyły początkowo za posadę gromom prawie w całym kraju naszym, jak to stwierdza dotąd powszechnie zachowana grodzisk, grodzyszcz i horodyszcz nazwa.

Ród Toporezyków Pileckich wygasł po mieczu z końcem XIV wieku na Ottonie, wojewodzie sandomierskim. Jedyną jego córę i dziedziczkę Elżbietę, wdowę po dwakroć, po Albercie księciu opolskim i Wincentym Granowskim kasztelanem nakielskim, poślubił w 1417 dwukrotnie również owdowiały król Władysław Jagiełło.

Dobra pileckie przeszły wtenczas na syna Elżbiety, Jana Granowskiego, który w ten sposób stał się założycielem nowej rodziny panów Pileckich, herbu Leliwa. W rodzie tym została Pilica aż do drugiej połowy XVI wieku, w którym to czasie, po wygaśnięciu w 1561 roku męskiej linii, przeszła wraz z innymi familijnymi dobrami na Annę z Pileckich, najprzód Jana Kostki, starosty lipińskiego, następnie Krzysztofa Kostki, syna wojewody pomorskiego, a nakoniec zaś Łukasza Opalińskiego, marszałka w. k. zonenę. W 1564 r. sprzedała ona rodzinne swe posiadłości Marcinowi Zborowskiemu, kasztelanowi krakowskiemu; snać jednak warunki sprzedaży, w skutek nastąpionej już w 1565 r. śmierci nabywcy, nie musiały zostać dopełnione, gdy dobra powtórnie sprzedane być mogły Wojciechowi Padniewskiemu, kasztelanowi oświęcimskiemu, dybowskiemu staroście. Zanim jednak ten nabywca w posiadaniu Pilicy się utrzymał, toczyć wpiérw musiał z rodziną Zborowskich długi process.

Już przecież w 1580 r. Padniewski był niewątpliwym Pilicy panem; w tym bowiem roku dopuścił się gwałtownego najazdu i zaboru na własności mniej zamożnego szlachca Piotra Wilskiego, dziedzica wsi Kompiółki i sołectwa z dwóch łanów gruntu złożonego, we wsi Strzegowie. Możliwy magnat zagarnął mu sołectwo i na samego zbrojno w Kompiółkach napadł. Że nie musiał mieć za sobą ani cienia prawa, świadczy rezultat długich, bo aż do 1602 roku trwających prawowań, który nareszcie pokrzywdzonego przywrócił do jego szczytłej własności. Dawny zamek pilicki uległ już w tym czasie ruinie, gdyż są ślady że Padniewski podczas processu z Wilskim na folwarku w Smoleniu zamieszkiwał.

W 1602 r. rozpoczął Padniewski budowę nowego, pomimo mnogich przemian dotąd jeszcze po części istniejącego zamku, i takową w przeciągu lat dziesięciu szczęśliwie ukończył. Niezadługo potem Pilica przeszła na własność Jerzego księcia Zbarazkiego, kasztelana krakowskiego, który w niej szpital dla dwudziestu ubogich z miasta pochodzących, przy założonym przez się kościółku św. Jerzego, w 1629 roku ufundował, na utrzymanie takowego, tudzież przywiązanego do kościółka probostwa, pobliską wieś Kębło, teraz Giebło, po wieczne czasy przeznaczając. Po nastąpieniu w 1631 r. śmierci Zbarazkiego, dziedzictwo po nim przeszło na Konstantego ks. Wiśniowieckiego, wojewodę kijowskiego, po którym znowu, za córką Heleną, Pilica dostała się w dziale Stanisławowi Warszyckiemu, mazowieckiemu wojewodzie, a potem krakowskiemu kasztelanowi.

Znakomity ten mąż był prawdziwym wzorem obywatelstwa, wśród ciężkich doświadczeń, jakim uległ kraj pod panowaniem Jana Kazimierza. Nie upadł on na duchu jak inni i nie opuścił rąk w obec powodzeń szwedzkich, i choć już nieprzyjaciel niemal kraju całego był panem, mężnie sposobił się do obrony warownych swych zamków w Pilicy, Dankowie i Smoleniu. Wtenczas to zamek pilicki był przez czas jakiś schronieniem nieszczęśliwego króla, przed jego zupełnym z kraju ujęciem. W 1656 r. Pilica wraz z zamkiem wpadły w ręce przeważnego siłą nieprzyjaciela; ale Warszycki trzymał się niezachwiany w Dankowie, aż doczekał się że zawiązana w Tyszowcach konfederacja, do szerszych coraz wzrastając rozmiarów, groźną Szwedom stawać się począynała. Wtedy, z podwojonym mężstwem zaczepne rozpoczynając działanie, nie tylko Pilicę, ale i okolice całą z wojsk nieprzyja-

cielskich oczyścił. Jeżeli jednak zamek pilicki straszliwego od Szwedów doznał spustoszenia, smutniejszym jeszcze było położenie samego miasta i należących doń włości. Zabudowania leżały w popiołach lub gruzach, a ludność błądziła rozpierzchła, szukając jak mogła ukrycia. Potrzeba było niemało czasu i trudu, nim się część jej jakąś nanowo zgromadzić udało i nowe pozwności osady.

Ze śmiercią zasłużonego Warszyckiego, w 1680 r., posiadłości jego przeszły po kądzieli na uboczną tegoż nazwiska linią, w której przez pół wieku zostały. W 1730 r. ostatnia rodu tego dziedziczka, żona Pocięja, wojewody wileńskiego, hetmana w. litewskiego, sprzedała je Maryi Józefie z Wessłów Sobieskiej, wdowie po królewiczu Konstantym. W chwili tranzakcyi zamek nietylko w dobrym był stanie, ale nawet, jak na owe czasy, zaopatrzony w dość silne środki obrony, posiadał bowiem 23 różnego kalibru armat i 4 moździerze. Za Sobieskiej jednak, która świetnie i dworno w nim zamieszkiwała, główny gmach jego stracił dawniejszy surowy charakter, przerobiony na wspaniały w włoskim guście pałac. Przyozdobiona także Pilicę kościołem i klasztorem oo. reformatów, który w 1743 r. rozpoczęty, w 1746 ukończonym i poświęconym został.

Dziedzicem po Sobieskiej był blizki jej krewny, Teodor Wessel, podskarbi koronny, który, uparcie po saskiej stronie przeciw Stanisławowi Augustowi stając, majątek swój na ciężkie naraził klęski. Obciążone nad miarę długami dobra, oddane zostały na eksdywizję, w ciągu której przypadły rozbiór krajowi, jedną ich część pod pruskie, drugą pod austriackie oddał panowanie. Dalsze o nie processa i frymarki nie przedstawiają żadnego historycznego interessu, i dlatego mówić co o nich niema. Ostatniem historycznym wspomnieniem przywiązaniem do pilickiego zamku, jest pobyt króla saskiego i księcia warszawskiego Fryderyka, który w przejeździe do Krakowa, w 1810 r. tu gościł.

Terazniejsza pilickiego zamku powierzchowność mało pamiątkowego ma charakteru. Była to twierdza podług nowych już pojęć wojennej sztuki, wałami ziemnymi, wzmocnionymi murem, z czterema w wągłach narożnikami, broniona. Dziś tylko narożniki i łączące je od południa i północy wały utrzymały się w całości, dodając niepospolitej ozdoby wspaniałemu parkowi, dawniejszy dziedziniec zamkowy i całą wschodnią wzgórza pochyłość zajmującemu. Co do samego gmachu zamkowego, ten od upadku księstwa warszawskiego opuszczony, przy pomocy chciwości, rwącej gdzie się coś urwać tylko dało, przed kilkunastu laty przedstawiał już tylko nagich, odrapanych murów szkielec. Obecny właściciel Pilicy wyrestaurował z tych pustych murów okazały dom mieszkalny, na który dość rzucił okiem, aby się przekonać że nań kosztów nie oszczędzono. Nie można jednak przemilczeć, że budowniczy który dziełem tém kierował, nie miał najmniejszego estetycznego uczucia, nie zwrócił bowiem uwagi jak się jego budowla wśród otaczającej ją miejscowości wyda. Jest to, krótko mówiąc, jedna z owych ogromnych, czworobocznych, bez żadnego stylu i ozdób, jak olbrzymie skrzynie z oknami wyglądających kamienie, jakie w nowszych czasach stami powyrastały w nowych dzielnicach Wrocławia. W miastach, pomimo nieznośnej swęj prozy, wyglądają jeszcze te pudła jako tako; ale łatwo sobie wystawić jak to wyglądać musi w otoczeniu pysznego ogrodu i imponujących dawniej fortyfikacji szczytów!... Najlichszy dworek polski, z pobitym gontą dachem i wspartym na kilku słupkach gankiem, bez porównania właściwiej i piękniej wydałby się tu, niżeli gmach ten wielki i kosztowny.

Najgodniejszym widzenia przedmiotem w Pilicy jest jej kościół farny. Budynek to dawne pamiętający czasy. Kto i kiedy go wystawił? niewiadomo. Tyle wiemy tylko, że w 1432 r. przeniesiono do niego probostwo z kościołem św. Piotra i Pawła. Różni właściciele: Pileccy, Padniewscy, Zbarazcy, Warszyccy, przyozdabiali go koleją, a Padniewski ufundował nawet przy nim w 1612 r. dostatecznie opatrzoną kolegiatę, która aż do supressyi, w najnowszych już dokonanej czasach, istniała.

Położenie tego kościoła jest dość oryginalne, gdyż na stromą wyniosłość na której stoi, wchodzić trzeba po kilkudziesięciu schodach od ulicy; z przeciwniej zaś strony dość szeroki i głęboki parów przedziela go od mieszkań proboszcza i organisty, tak iż do nich po rodzaju zwodzonych mostków przechodzić trzeba. Budowa sama zewnątrz niema nic uderzającego, prócz sztukaterskich ozdób, rzuconych hojnie na tylniej ścianie zakrystyi, wysokością kościołowi samemu dorównywującej. Są to rozmaite herby rodzinne, wśród których na większym od wszystkich obwodzie allegoryczny wizerunek orła, z feniksowego stosu ku pro-

miennemu wlatującego słońcu. Rzecz to jednak za stanowienia godna, że nasi przodkowie, dziwnym jakimś wiedzeni duchem, z dawien dawna lubowali się w tym allegorycznym rysunku.

Inna sztukateria, nad uboższem do kościoła wejściem, jest ciekawą próbką do jak zuchwałych zbliżeń posuwał się niekiedy u nas szal panegiryczny. Pod uświetnionym mitrą herbem Junosza, jak wiadomo baranka przedstawiającym, położono następujący napis:

Agno
Benedictio
Et Honor et
Gloria et
Potestas.

Mówiąc niby o baranku Bożym, wypalono zresztą komplement herbowym szlachetnego klejnotu Junosza.

Wnętrze fary pilickiej poważne jest i wspaniałe. Styl budowy szlachetny, a dla przyozdobienia nie oszczędzono sztukaterji, malowideł, rzeźb i złoceń, czego jednak wszystkiego tak umiejętnie użyto, że w harmonijną zlewa się całość.

Z pięciu przytykających do kościoła kaplic, najokazalszą jest wystawiona przez Wojciecha Padniewskiego w 1601 roku, jak napis na odrzwiach jej świadczy. Pokrywa ją bardzo piękna, freskami i marmurem przyozdobiona, a wielką latarnią z góry oświetlona kopuła; jedną zaś ścianę całą zajmuje pyszny i wybornie zachowany pomnik, z czerwonego chęcińskiego marmuru rzeźbiony, przedstawiający w dwóch kondygnacyach nad sobą położonych: męża w zupełnej zbroi i niewiastę w owych wpółzakonnych szatach, w jakich je zwykle na grobowych kamieniach przedstawianymi widzimy. Pomnik ten nosi u dołu następujący napis:

Magnificae Dominae D. Agneti Padniewska de Brodino, Matronae pietate in Deum, liberalitate in egenos, beneficentia in

omnes conspicuae, Magnificus Dnus Albertus Padniewski de Padnievo, Castellanus Osviecimen., Capitaneus Dibovien: etc. etc., filius indulgentissimae matri in eodem mausoleo sub quo et charissimus conjunx illius conditus est, effigiem hanc posuit, ut quos viventes fidus amor observantia conjungali integre tenuit, eosdem mortuos idem locus haberet.

Obiit anno incarnationis Dominicae Die

Na daty pozostawiono próżne tylko miejsce.

Do kaplicy Padniewskiego przytyka mniejsza prawnia i nie tak kosztowna, zawsze jednak bardzo piękna kaplica św. Józefa. Najbardziej zdobi ją bogato rzeźbiony i złożony niewielki chórek, tudzież ławki z wcale niepospolitemi malowidły. W jednej z ścian tkwi wmurowany z czarnego marmuru, z portretem na złożonej blasze malowanym, pomnik Franciszka Lesznowskiego, apostołskiego protonotaryusza, oficjanta i proboszcza pilickiego, doktora i profesora akademii krakowskiej, kaplicy fundatora, w 1711 roku w Krakowie zmarłego i tamże w kościele św. Michała pogrzebionego. Przed opuszczeniem kaplicy zwróciła jeszcze mą uwagę sztuka dawnego obicia, drzewo jakies przedstawiająca. Naśladuje ona tak wybornie gobelin, że zdziwiony byłem, znajdując za dotknięciem malowane tylko płótno.

W dwóch odpowiednich po przeciwniej stronie kościoła kaplicach, znajdują się także pomniki: w jednej Anny z Warszyckich Warszyckiej, córki Stanisława a zony Michała, miecznika koronnego, w 1683 r. zmarłej; w drugiej, pod niewielką rzeźbą, uśpione dziecko przedstawiająca, mieści się następny, zagadkowy nieco napis:

Magnificus Dominus Stanislaus Comes de Pilica ac Catharina more stirpis Ducum Ungarorum Catharinae filiae suae infantulae Parentes pii ac maesti tumulum posuerunt. Anno Domini 1559, vixit mentes 19.

Zagadkowe wyrażenie *more stirpis Ducum Ungarorum*, odnosi się do pochodzenia matki dziecięcia, księżniczki węgierskiej.

Oprócz tych czterech, po kaplicach rozrzuconych pomników, znajduje się jeszcze przy wielkim ołtarzu, ponad drzwiami zakrystyi, tablica z czarnego marmuru, poświęcona pamięci Macieja Łodzi, pierwszego po założeniu kolegiaty kanonika tutejszego, w 1616 r. zmarłego. Z wielu innych nagrobków u Starowolskiego pomieszczone, żadnego nie pozostało śladu.

Klasztor oo. reformatów, fundowany przez Sobieską, jest bardzo obszerny i starannie utrzymany, ale kościół nie tak dalece godnego uwagi w sobie nie mieści. Wewnątrz znajduje się jeden tylko z czarnego marmuru, portretem na tle złożonym ozdobiony nagrobek Teodora Wessla, w 1791 r. zmarłego. Ale na

niewielkiej, w kruchcie umieszczonej tablicy, napotykamy zawartą w ośmiu lichych wierszach treść całego krwawego dramatu, na przytoczenie zasługującą. Oto jest dosłowna napisu tego kopia:

Teklę z imienia, z przeczyszczenia Bialecką,
Z cnót wybor-
[niczną, a z mę-
[za Piasecką,
Siekierą sługa
[zabił w nocy
[panią,
Mąż Michał pro-
[si o westchnie-
[nie za nią.
Prosi i za nim,
[bo w poku-
[tnym ryku
Odebrał karę
[w posród mia-
[sta rynku,
Rękę ucięto,
[kleszczami
[szarpano,
Żywo na ćwier-
[ci w ostatku
[siekano.
R. P. 1774.

Trzeci z istniejących obecnie w mieście, kościółek św. Jerzego, nie godnego wzmianki nie przedstawia. Przedtem były tu jeszcze dwie świątynie: św. Barbary i ks. kanoników lateraneńskich, pod wezwaniem św. Walentego. Pierwszy z nich, niewiadomo kiedy i przez kogo wzniesiony, rozwalony został do szczętu za pruskich czasów, a na miejscu jego stoją teraz jatki miejskie. Kościółek zaś św. Walentego, przez Padniewskiego w 1640 r. zbudowany, oddany po zajęciu tej części kraju przez Prusy protestanckiemu obrządkowi, po ustąpieniu Prusaków pozostawiony bez opieki, niszczył szybko. Dotąd stoją z niego cztery nagie mury, świadczące że budowa ta nigdy niczym się nie odznaczała.

W dość zaniedbanym drewnianym kościółku św. Piotra i Pawła, po drugiej stronie doliny, samotnie na stromym wzgórzu stojącym, pokazywało nam w kruchcie kropielnicę z wapiennego wyciosaną kamienia, jako wielkiej starożytności zabytek, pozostały z przeszłego na tymże miejscu modrzewiowego kościoła, który w pierwszym chrześcijaństwie w Polsce zbudowany miał być w wieku. O kropielnicy tej pisze Hubicki:

„Przed 30 laty, za officyała ks. Pstruszyńskiego, proboszcza byłej tutejszej kollegiaty, spostrzeżono wrytą na niej liczbę 965, co dało niektórym powód do utrzymywania, że ta kropielnica od r. 965 wraz z kościołem modrzewiowym na tym miejscu istnieje. Jeden z gorliwych, pragnąc zachować dowód starożytności, kazał te liczby siłą czasu przytarte głębiej wyłobić, i ta poprawka

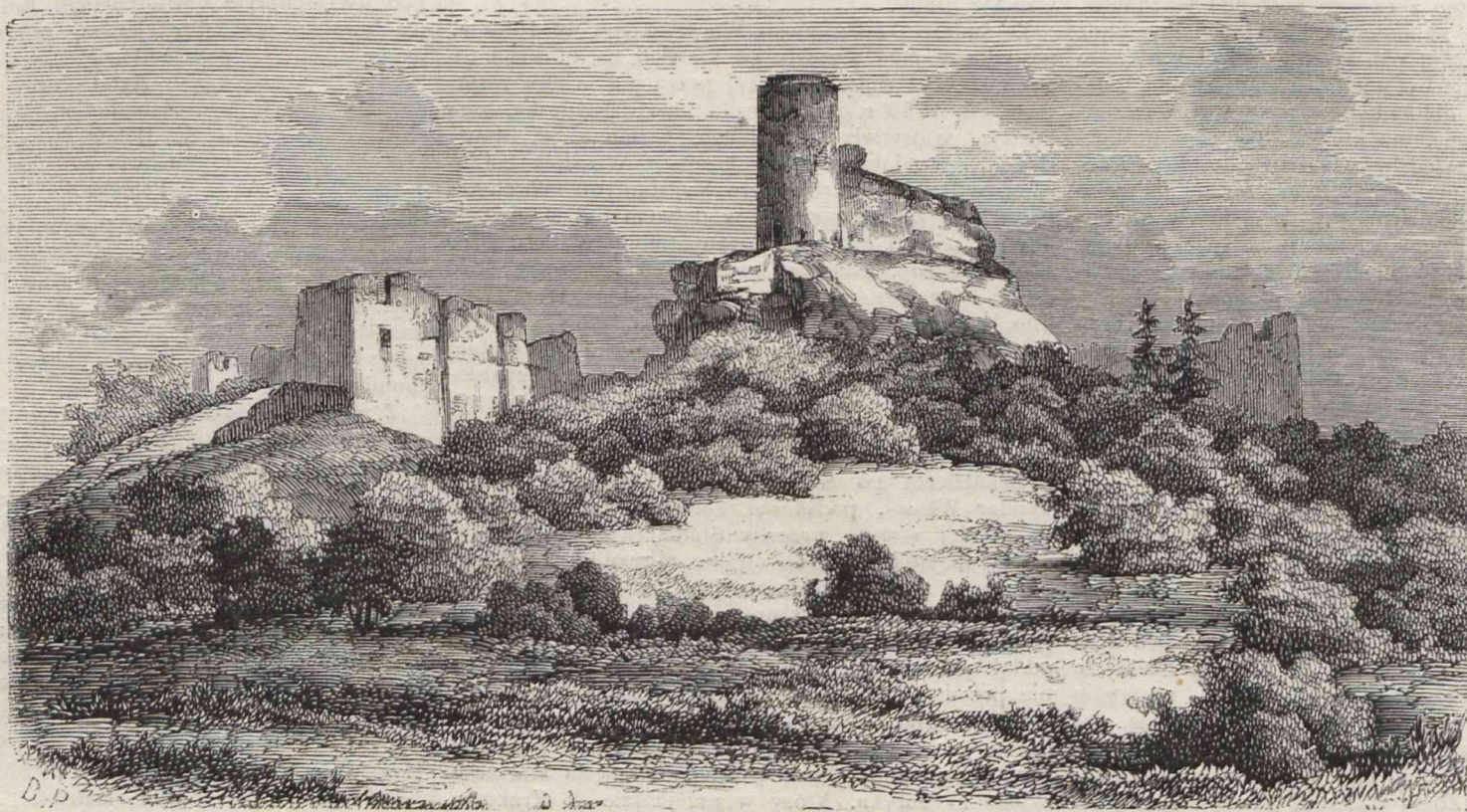
zachowuje się.“ Sam jednak przytoczony autor tak wysokiej starożytności jej nie przyznaje, wyczytując datę 965 roku za pamiątkową wprowadzenia chrześcijaństwa w Polsce.

Co do mnie, daty przywiezionej nie widziałem; ale za to na podstawie kropielnicy wyczytałem bar-

cy, tworząc staw, z którego już dość znacznym wpływa przyszła rzeka strumieniem.

O samém teraźniejszym mieście niewiele powiedzieć jestem w stanie. Liczy ono około 4000 mieszkańców, pomiędzy którymi znaczna liczba Izraelitów; rynek i parę ulic murowanemi zabudowane domami i bruko-

wane; na uboższych piaskach ściskają się drewniane chaty i stodoły słomą kryte. Wszędzie panuje pewna czystość i porządek; owych brudnych i cuchnących zaułków, będących plagą miasteczek naszych, szczęściem jakos się nie widzi. Obecnie Pilićca znajduje się na drodze wzrostu i polepszenia swego bytu. Pan Moes, Niderlandczyk, oddawna w Polsce osiadły, który przed dziesiątkiem około lat nabył tę własność, założył w pobliżu miasta, od sześciu już lat, na wiel-



ZWALISKA ZAMKU W SMOLENIU. (Rysował z natury Podbielski.)

dzo wyraźnemi liczbami arabskimi: 1089. Że podstawa nietylko tak wysokiego wieku nie sięga, ale że musi być wcale niedawnych czasów dziełem, świadczy i kształt jej całkiem nowoczesny i zupełna jeszcze powierzchni świeżość. Sama właściwa kropielnica, w kształcie konchy wyrobiona, nosi na sobie niewątpliwe parowiekowego istnienia ślady; stopnia jednak

ka skalę urządzoną papiernię, świeżo zaś również wielką fabrykę kortów, z wszystkimi należącemi do podobnego przedsięwzięcia przyrządami, jako to: przędzalnią, farbiarnią, i t. d. Dość jest pomysłu, ile to set ludzi znajdzie przy tych olbrzymich zakładach zarobek i jak znaczny kapitał pójdzie tym sposobem w obieg, ażeby pojąć jak błogo te przedsięwzięcia wpłynąć muszą na podniesienie się i samego miasta i okolicy nawet całej.

W południowo-wschodniej stronie Pilićcy ciągnie się łańcuch dość znacznych, lasami pokrytych wzgórz. Na najznacniejszej jego wyniosłości rozróżnić można strzelający zśród zieleni drzew, olbrzymi słup szary. Jest to ruina zamku w Smoleńsku. Dla dostania się do niej trzeba około godziny czasu, wciągnąć się pod górę pnącą się ścieżką. U samego podnóża ruiny leży wieś Smoleń, a sad tylko od dworu ją przedziela. W tym to dworze zamieszkiwał aż do niezbyt dawnej śmierci swojej ś. p. Roman Hubicki, z którego opisu trzech zamków w sprawozdaniu niniejszem wielce korzystałem, jakkolwiek nie we



SKAŁA ZWANA OKIENNIK. (Rysował z natury Podbielski.)

że jej dawności odgadnąć niepodobna.

Co do kościółka o którym mowa, ten, podług świadectwa odbytej w 1575 r. wizyty, na dwadzieścia lat przedtem, a więc w 1555 r., na miejscu upadłego dawniejszego, wzniesiony został. Tuż prawie pod wzgórzem za posadę mu służącym, wytryskują źródła Pili-

wszystkiem iść za nim mogłem. Syn jego, teraźniejszy właściciel Smoleńca, był naszym uprzejmym do zwalisk przewodnikiem.

Główną piękność smoleńskiego zamku stanowi dziokość i malowniczość jego położenia. Cały na paręset stóp wysoki grzbiet, za posadę mu służący, wyjąw-

szy jednego boku, utworzonego przez nagą, pionowo spadającą skałę, pokryty jest trudną do przebycia gęstwiną drzew i krzewów. Stromość ścieżki prowadzącej do wrót wjazdnych i wrót tych szczupłość świadczą, że tylko pieszo i konno można się było dostać do zamku. Dzięki położeniu swemu, był on bardzo obronny, chociaż nieobszerny, i dlatego niewielką tylko załogę pomieścić zdolny. Znacznej wysokości mury które go otaczały, zachowały się niemal w całości; ale z mieszkalnych budynków nagie jedynie pozostały ściany. Przestrzeń pomiędzy ścianami temi, równie jak dawne podwórze zamkowe, porasta bujną zielonością leśną, która cudownie całe miejsce

stroi. Wysmukła, krągła baszta wznosi się dumnie z pośrodku ruiny; zaiste, ma czego być dumną, odartemi z pokrycia murami urągając tak zwycięzko od tylu lat piorunom i dziko srożącymi się na tych wysokościach burzom. W pobliżu jej sterczy jeszcze druga, lecz już znacznie niższa wieża, w dole której widzieć można godne podziwienia żelaznej pracy i wytrwałości dzieło. Jest to kilka sążni szeroka, tyleż długa i głęboka cysterna do gromadzenia deszczowej wody na wypadek obleżenia, w litój bryle skały kuta. Pracowity ten przyrząd nie zadowalał jednak widać potrzeby, gdyż nie przestając na nim, podjęto następnie ogromniejsze jeszcze trudy, kopiąc i kując okrągłą studnię, przez całą wysokość wzgórza, aż do poziomu najbliższych źródeł wody sięgającą. Ażeby do nich dosięgnąć, musiała mieć najmniej trzysta z górą łokci głębokości. Po upadku zamku, jak zwykle, w większej części gruzem zasypana, za staraniem dopiero nieboszczyka dzieźdźca do głębokości 160 łokci oczyszczoną, pokrytą i do robienia śrutu myśliwskiego użytą została.

Ponieważ fabryk śrutu trzy tylko na cały kraj się znajduje, a témsamém rzadko komu się zdarza widzenia ich sposobność, nie od rzeczy będzie dać tu krótki fabrykacji tej zarys. Jest ona niezmiernie prostą. Roztopiony olów leje się przez durszlaki, których otwory odpowiadają zamierzonej grubości śrutu. Wrzący ten grad stygnie i zaokrągla się lecąc w głębie, a do reszty oziębia się, wpadłszy w nalaną na drewniany pomost wodę. Za przecieknięciem wody w zarzuconą rumowiskiem głębie studni, ludzie spuszcza ją za pomocą lin na pomost, z którego śrut wysypują w kubły, zwykłym wyciąganym sposobem. Potem śrut zaokrągla się jeszcze lepiej przez taczanie go w baryłce, przesiewa raz jeszcze przez durszlaki, i otóż cała robota skończona, zostaje tylko gotowy towar ważyć i pakować. Śrut smoleński znany jest w handlu pod nazwą *Batawia*.

A teraz, rozpatrzywszy się w szczegółach zamku, wdrzyjmy się na jeden z jego murów i rzucmy z niego w około okiem. Jakże rozległy, jak czarowny rozwija się ztąd widok! Z jednej strony oko, potracając o coraz wyższych wzgórz łańcuchy, spoczywa wreszcie na siniejących, jak niezmiernie massy chmur, Karpatach; z drugiej, lekkimi wyniosłościami pofalowany widokrąg zamykają w głębi szarzące jak mgła lasy. Na malowniczym tle wzgórz tych i lasów rysują się bliżej i dalej rozsiane zwaliska Chęcina, Rabszyna, Bobolic, Mirowa, Ogrodzieńca. Pobliska Pilica, objęta z trzech stron wspaniałym parkiem zamkowym

i dwiema srebrnymi szymbami stawów, przesłicznie się przedstawia z tój wysokości. Najbliższa zwalisk okolica od strony wschodu i południa piętrzy się cała stromo wybiegającemi lesistemi wzgórzami i szaremi ogromami w najróżniejsze i najdziksze kształty grupujących się opok. Słowami całej piękności tego położenia wypowiedzieć mi niepodobna; to jednak zapewnić mogę, przebiegłszy niemal z końca w koniec Europę, że w najsłynniejszych nawet pod tym względem okolicach, cudniejszego widoku nad ten jaki się otwiera z ruin Smoleńca, nie znajdzie.

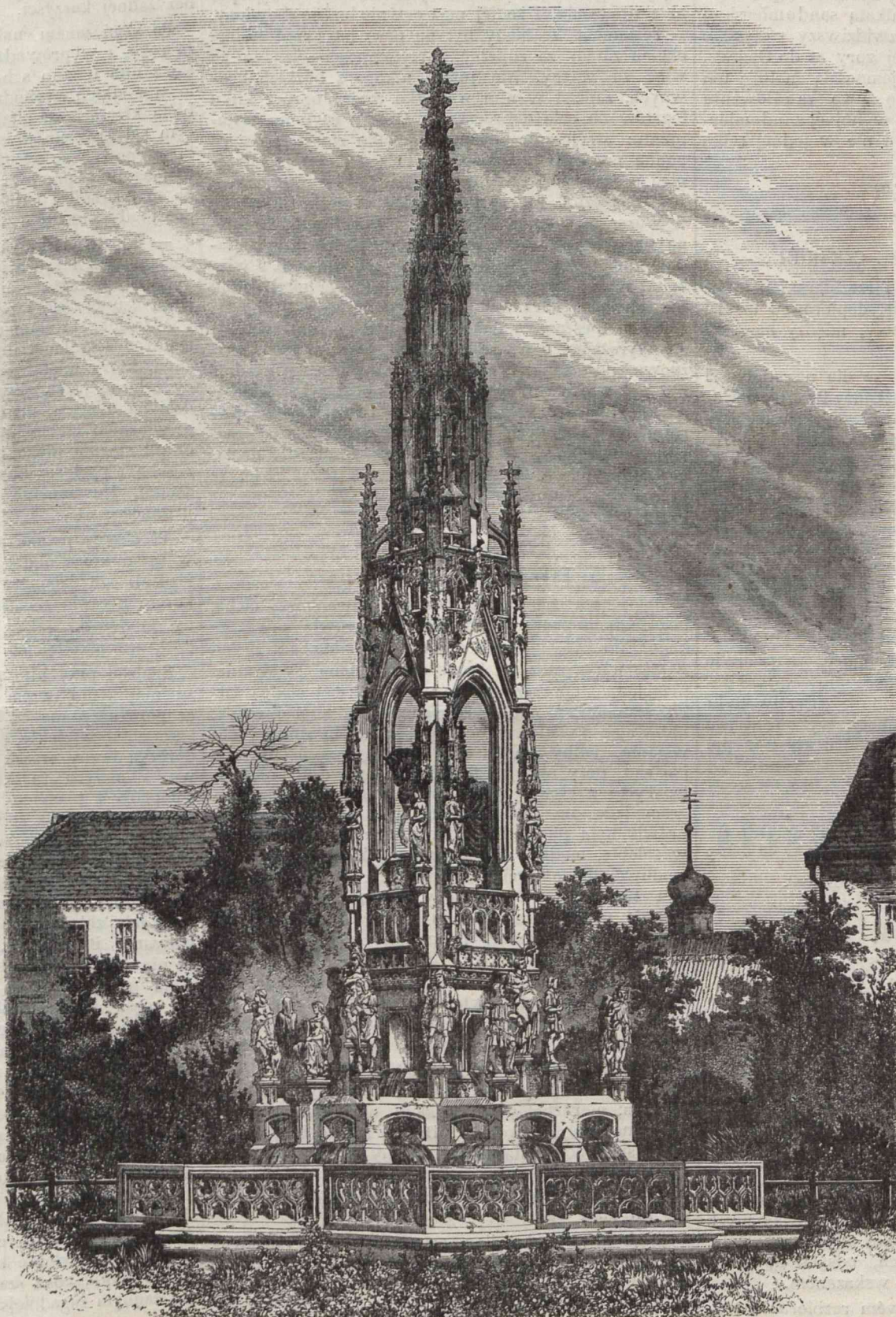
Historyczne o zamku smoleńskim wiadomości, przez Hubickiego starannie zebrane, dość są szczupłe. Naj-

gdy Mikołaj w Ogrodzieńcu, a Jan w Smoleńcu zamieszkiwał, opowiada sobie lud dotąd, jak się z obu tych zamków za pomocą znaków porozumiewano. Po wygaśnięciu z śmiercią tych trzech braci męskiej linii Leliwcyków Pileckich, rozdzielone mienie rodzinny złoło się znowu w rękę jedynej dziedziczki, Anny, córki Jana. Odtąd Smoleń przechodził wspólnie z Pilicą wszystkie koleje, aż do końca zeszłego wieku, kiedy w skutek zawyrokowanej na dobrach eksdywizji i podziału tój części kraju podług biegu rzeki Pilicy pomiędzy Austryą i Prusy, jedno z nią dominium stanowić przestał. Utrzymuje się podanie że kiedyś zamek smoleński miał być spalonym przez Szwedów, co wypadłoby na czas, kiedy i Pilica wpadła w ich ręce, to jest na rok 1656. W każdym razie po zniszczeniu tój odbudowanym został, gdyż jeszcze na początku bieżącego stulecia jedna część jego prawie w zupełności stać miała. Najwięcej do ruiny jego pomogli w r. 1797 Austriacy, którzy stawiając komorę w Smoleńcu, z zamku kruszyli na budulec mury. Nieboszczyk Hubicki czuwał troskliwie nad całością tego co zostało, a oczyszczając z gruzów i kopiąc w niektórych miejscach górę, znalazł w ziemi, obok mnóstwa kości, wiele ostróg, strzemion, toporków i innych żelaznych przedmiotów, rdzą strawionych, pomiędzy którymi trafił się także grosz pragski króla Wacława.

Rozstawszy się ze Smoleńcem i napowrót minawszy Pilicę, zmierzaliśmy ku wsi Lgocie Murowanej, o dobrą od miasta milę położonej. W pierwszej na drodze do niej wsi Gieblo, funduszowej kościoła i szpitala św. Jerzego w Pilicy, zwrócił moją uwagę kościółek, którego budowa prostokątna, z obrabianego w kostkę kamienia, wielkiej starożytności nosi cechę. Cechę tę nosi i wnętrze kościółka, a mianowicie kształt okien, w niezgrabne u góry zakończonych półkole. Oprócz jednak samych murów, nie się w nim godnego widzenia nie znalazło. Czy są jakie dawności jego w kościelnych księgach ślady, dowiedzieć się nie mogłem; proboszcza bowiem nie było w domu, a oprowadzający nas kościelny nie powiedział nie umiał. Na wszystkie dopytywania wskazał nam tylko umieszczony wśród sklepienia widocznie późniejszej dostawionej kaplicy herb Habdank, z datą 1647, który naturalnie niczego nas nie nauczył.

W Lgocie Murowanej, w której szukaliśmy tylko chwilowej gościnności, niespodzianie znaleźliśmy szczątki i wspomnienia niezbyt dawno znikłego zamku.

Jak pozostała z niego oficyna, i dwupiętrowa, czworoboczna wieża okazują, nie był on prawdą obronnym ani starożytnym, pochodząc najdalej z początku XVIII lub końca XVII wieku; zawsze jednak mógł być ozdobą miejsca i okolicy. Koniec jego był szczególnie; nie zniszczył go bowiem ani czas, ani przypadek, ale z dobrej woli rozebrany został. Jak mi opowiadano, kiedyś tam, rzemieślnik jakiś, wbijając w ścianę jego hak żelazny, natrafił na zamurowaną w murze skrzynkę. Co było w skrzynce?... tego nikt nie wie. Dość że znalazca znikł wraz z nią bez śladu, zanim się rzecz do ówczesnego właściciela zamku doniosła. Ponieważ gdzie była jedna, mogła się znaleźć i druga skrzynka, zaczęto szukać, rozbierając mury; aż cegiel-



WODOTRYSK W PRADZE CZESKIEJ.

dawniejsza z nich, znajdująca się w aktach grodzkich krakowskich, pochodzi z 1501 roku. Ustanawia ona działy po śmierci Jana Leliwcyka Pileckiego, wojewody sandomierskiego, starosty przemyskiego, pomiędzy trzech jego synów. Działy te dają wyobrażenie o potęgę tego rodu, na mocy ich bowiem posiadli: najstarszy syn Mikołaj Ogrodzieńca i Włodowice, z trzynastą wsiami w Krakowskim, a drugie tyle prawie dóbr na Rusi; drugi syn Jan, Pilicę, Mrzygłód, Smoleń i siedmnaście wsi w Krakowskim, z odpowiednim majątkiem w ziemiach ruskich; trzeci Stanisław, Siadczę i Kidów, z trzynastą wsiami w Krakowskim, i wyrównyujące innym udziałom dobra w Rusi. Z czasów tego majątności pilickiej podziału,

Jak pozostała z niego oficyna, i dwupiętrowa, czworoboczna wieża okazują, nie był on prawdą obronnym ani starożytnym, pochodząc najdalej z początku XVIII lub końca XVII wieku; zawsze jednak mógł być ozdobą miejsca i okolicy. Koniec jego był szczególnie; nie zniszczył go bowiem ani czas, ani przypadek, ale z dobrej woli rozebrany został. Jak mi opowiadano, kiedyś tam, rzemieślnik jakiś, wbijając w ścianę jego hak żelazny, natrafił na zamurowaną w murze skrzynkę. Co było w skrzynce?... tego nikt nie wie. Dość że znalazca znikł wraz z nią bez śladu, zanim się rzecz do ówczesnego właściciela zamku doniosła. Ponieważ gdzie była jedna, mogła się znaleźć i druga skrzynka, zaczęto szukać, rozbierając mury; aż cegiel-

ka po cegielce, prócz wspomnianych wyżej wieży i oficyny, znikł budynek cały. O ile z miejscowych podań wiadomo, miał on być wzniesionym przez jakiegoś starostę Kalinowskiego. Podanie to stwierdzają niejako marmurowe odrzwia, obecnie na kominek w nowym dworze obrócone, na których znajduje się wykuty herb Kalinowa, po obu stronach mający głoski:

S	W
A	W
C	C

Mnóstwo innych podobnych marmurów, tylko bez rzeźb, służy w ogrodzie za ławki i t. p.

W Lgocie piesza nasza trójka (której niechaj nikt dlatego za hultajską nie poczyta) spotkała się z wynoszącą do dziesięciu koni kawalkatą sandomierskiej młodzieży, która w ten sposób zwidziwszy wszystkie godne widzenia miejsca od Łysiej góry aż do Ojcowa, teraz do domu wracała. Z przyjemnością notując ten fakt, świadczący o budzącym się żywo zamiłowaniu pamiątek i piękności ojezycznych w bujnej sandomierskiej ziemi. Oby on się częściej i nie w jednej tylko stronie kraju powtarzał!...

(Dokończenie nastąpi).

WODOTRYSK W PRADZE CZESKIÉJ.

Dzielo sztuki architektonicznej i rzeźbiarskiej, które tu przedstawiamy w drzeworycie, dopiero od lat 40 wznosi się nad brzegiem Moldawy, między mostami kamiennym i wiszącym.

Gdy w r. 1848 zdawało się że dla narodowości czeskiej nowa zabłyśnie era, mieszkańcy Pragi wezwali znakomitego rzeźbiarza i budowniczego Maxa, ażeby wystawił pomnik ten na cześć Karola I (1346—78, w Niemczech Karola IV), którego Czesi, jako krzewiciela oświaty i szanującego tradycje narodowe, dotychczas w wdzięcznej mają pamięci.

Artysta zaraz wziął się do pracy: posąg króla stanąć miał w środku wodotrysku. Wypadki jednak polityczne przeszkodziły wkrótce wykonaniu tego zamiaru, i miejsce Karola I, zajęła statua konna Franciszka I, cesarza austriackiego.

Na załączonej rycinie posąg ten mało jest widzialny. Podstawę wodotrysku zdobią figury, w połowie wielkości naturalnej, przedstawiające główne zajęcia każdego miesiąca roku. Pomnik cały, w stylu mieszanym, wytwornej bardzo roboty, wykonany jest z czarnego wapienia. Na prawo widać klasztor pp. urszuliniek.

WIDZIAŁO SZCZĘŚCIA,

POWIEŚĆ Z ŻYCIA SPÓŁCZESNEGO.

przez

FELICYANA.

(Dalszy ciąg).

VIII.

Wszyscy, prócz hrabiego Artura.

W dni parę znaleziono zwłoki zabitego, w lasku pod Zaciszem. Miał w rękę pistolet wypalony—widocznie więc sam sobie życie odebrał. Wątpliwość zaś wszelką w tym względzie usuwała do reszty pismo własnoręczne, znalezione w pugilaresie zmarłego, z którego dowiedziano się: że był hrabią Arturem, mieszkającym w pałacyku naprzeciw karmelitów bosych; że sprzykrzywszy sobie życie, z wiadomych Bogu tylko powodów, sam je sobie odjął rozmyślnie. Co do rozporządzeń majątkowych, odsyłał do testamentu, jaki zostawił w miejscu wskazanem.

Znaleźli lekarze, przy urzędowym rozbieraniu trupa, że wątroba jego była w stanie większej niż należy objętości, co mu mogło istotnie napędzać myśli pochmurne; że na mózgu zaajdowały się gruzolki, mogące nasuwać myśl samobójstwa; wreszcie że żyła sercowa była nieco zbyt nateżona, w skutek czego umarłby i tak prędzej czy później, co nawet wielce przemawia do przekonania—ponieważ śmierć jest udziałem wszystkich żyjących.

Tak więc, przypuszczając stan niejakiego obłąkania, nie odmówiono samobójcy posługi pogrzebowej; zawarowano tylko, żeby obrzęd odbył się w cichości i jak może być najskromniej. Żałował mocno właściciel domu w którym Artur mieszkał, że nie może być mowy na jego grobie, ponieważ życie tego człowieka, nie targującego się nigdy o komorne i regularnie płacącego, mającego młodą i ładną żonę, trzy-

mającego powóz, konie i kucharza Francuza, posiadającego dobra na prowincyi i wyjeżdżającego co lato za granicę, życie to, ze wszech miar szczęśliwe i pożyteczne, przedstawiało obfity przedmiot do rozszerzenia się nad marnościami świata tego, pełnego niewypłacalnych lokatorów, nadzwyczaj drogiej murarzy i policyj wymagającej zamiatania ulic i czyszczenia ścieków przed domami. Utrzymywała jednak mydlarka z przeciwka, wdowa po dwóch stolarzach i jednym lokaju, że żona hrabiego, której nigdy nikt nie widział, bo jest stara i brzydka, trzymała go bardzo krótko, a nawet niekiedy biła niemilosiernie, co go zapewne skłoniło do sprzykrzenia sobie życia. Ale ubodzy, którym rozdano obfitą jałmużnę, zgodzili się jednogłośnie, że hrabina jest widocznie wielka pani z urodzenia, i że jej mąż pewnie będzie zbawiony.

Testament zrobiony był na parę lat przed śmiercią, a zatem za zupełnej przytomności—uznano go więc za ważny. Nie mając nikogo z bliskich krewnych, zapisał w nim wszystkie żonie, oprócz kilku legatów na cele dobroczynne. Obecni czytaniu testamentu: stryjeczna—stryjeczna ciotka zmarłego (stara panna przybyła umyślnie na to z Galicyi), siostrzeniec rodzący się z wujecznego stryja i brat przyrodniocieczny, którzy także jakoś znaleźli się wtedy w Warszawie,—otaczali tysiącem troskliwości strapioną wdowę, mówiąc wiele dobrego o dziecinnych latach nieboszczyka, którego nigdy nie widzieli, i wiele tkliwych rzeczy o matce jego, której nigdy znać nie chcieli. Stara panna dobywała nawet chustki z jednej kieszeni, a flakonika z drugiej—uszczypliwie się wyrażając o dwóch młodych jegomościach; a ci znowu poróżnili się między sobą, skoro się zgadało kto był większym przyjacielem nieboszczyka. Ale koniec testamentu wrócił pożądaną zgodę, czy też porównał zwaśnionych, bo każdy z nich wyszedł mocno zadowolony, że się przynajmniej nie dostało drugiemu. A tak sprawdziło się przysłowie: że niema złego, coby na dobre nie wyszło.

IX.

Wszyscy, prócz Juliana.

Była msza żałobna za duszę Artura, msza cicha, bez żadnej pompy—nie wiedzieć prawie nawet za kogo. Nie było kiru na ścianach kościoła, ani zasłon w oknach,—owszem, wyjaśnione niebo swobodnie przeglądało poprzez drobne szyby, nawet słońce kilku snopami promieni zajaśniało do milczącej nawy, oblewając światłością biały posąg anioła zmartwychwstania, jakby na dowód, że tu o życie przyszłe i o sąd Boży idzie w tej chwili. Było osób niewiele. Tylko u ołtarza, gdzie się odprawiała ofiara, nagromadziło się nieco więcej ludzi—reszta kościoła prawie była pustą. U stopni ołtarza klęczała kobieta w żałobie, modląc się gorąco—niekiedy przerywając modlitwę dla obtarcia w milczeniu łez, tak iż nawet łkanie tej jedynej osoby, którą zdawał się obchodzić zmarły, nie mieszało ciszy cmentarzowej, posianej makiem wśród tej garstki wiernych. Krzyż Pański stojący na ołtarzu, zdawał się być metą wędrówki żywota, a kilka otaczających go gromnic, których chwiejące się światła słańały się jak cienie przy jasności dzienniej, wyobrażały niby dusze słabo trzymające się ciała, które lada powiew zdmuchnie i uniesie ku krainom wiecznego spokoju.

Stał pan Ignacy przy jednym z bocznych słupów kościoła; nieruchomy i zamysłony, nie spuszczał wzroku z modlącej się kobiety. Drżały mu niekiedy usta, może się modlił. Starannie ubrany niż zwykle, wyglądał na coś lepszego,—nawet lekka bladłość powlekająca mu policzki, zdawała się wskazywać, że jeszcze nie pił dnia tego.

Obok niego stał Julian, ostrym wzrokiem rozpatrując się w okolo. Przyglądał się okiem znawcy to posągowi archanioła, to obrazom w ołtarzach, to rzeźbom chóru i nawy.

Zaczęło to gorszyć baby siedzące w kručie. Jedna z nich podeszła ku niemu o kiju, i niby sprzątając coś w ławce, mruknęła dość głośno o nieumiejtności zachowania się w kościele i o otwartej drodze do wyjścia z niego.

— Módl się Julianie, szepnął mu ojciec; to jest nabożeństwo żałobne.

— Za kogo?

Pan Ignacy nie przewidział tej trudności.

— Za—za zmarłego.

— Za zmarłego?—To za nią—to pewnie za nią.

— Mów cicho. Nie za nią—ona żyje—ona będzie teraz twoją—mówiłem ci to tyle razy już. Przrzekłeś mi, że będziesz spokojny—pokażę ci ją przy wyjściu.

— To ona żyje?

— Potrzeba tylko żeby cię zobaczyła, a będzie twoją. Ukłękni.

W tej chwili uderzono w dzwonek. Pan Ignacy klął na oba kolana, a Julian dumiał jeszcze, biedząc się nad znaczeniem słów, które zdawały się przechodzić jego pojęcie. Stary wziął go za rękę, pociągnął ku sobie i przymusił klęknąć także. To go przekonało, i począł szeptać z westchnieniem:

— Spoczynek wieczny racz jęj dać Panie....

I wzrokiem szukał wzroku ojca, a ten, dogryzany upartemi słowy obłąkanego, odwracał się, mając oczy łez pełne i czując jak mu się serce pada niewczesnym zalem, a w duszy wylega się wątpliwość, że może to co się stało, było tylko nędznym odwetem, bez żadnej korzyści.

Po skończonym nabożeństwie, Skalski wziął syna za rękę, i wyprowadziwszy go z kościoła, zatrzymał się z nim u stóp schodów, z kąd widzieć można było wszystkich wychodzących. Jednocześnie prawie kobieta klęcząca u ołtarza wstała ztamtąd i chwiejącym się krokiem przeszedłszy nawę kościelną, poczęła zstępować ze schodów, blada, z spuszczonej oczyma, smutna, przybita.... W tej chwili Julian spojrział na nią, zbladł i jednym błyskiem zdziwił mu wzrok, jak nigdy przedtem.

— Kornelia! krzyknął grzmącym głosem, rozpychając ludzi i rzucając się ku nięj.

Młoda kobieta na głos ten zadrzała, przymknęła oczy, osunęła się i padła zemdlona na kamienie.

Wszczął się zamęt niesłychany. Jedni rzucili się ratować zemdloną, drudzy nie dać przystępu szaleńcowi, który miotał się jak opętany. Próżno pan Ignacy żelazną ręką chwycił go za ramię, chcąc go osadzić na miejscu, próżno usiłował zatamować mu drogę własnym ciałem, próżno wreszcie zroszczony przyczepił się do niego rękami i nogami,—on go włókł z sobą i parł się naprzód, robiąc sobie miejsce pięściami. Musiano go przewrócić, związać i wynieść przemocą.

W chwilę potem, w dwie przeciwne strony, niby w drogi które nigdy zejść się z sobą nie miały, rozjeżdżali się dziające tej smutnej sceny. Błyszcząca karetka uwoziła zemdloną Kornelią, a Julian, wrzucony do dorożki, jakby brzemień pierwsze lepsze, odjeżdżał, ani wiedząc co się z nim dzieje.

Siedział przy nim pan Ignacy, błąd i prawie także nieprzytomny, a biędny obłąkany, mając ręce poprzerzynane od postronków, pienieł się, zgrzytał i szamotał wściekle, rycząc w niebogłoso. Leciał za dorożką liczny orszak szweczyków posłanych po piwo, i małycn żaczków wracających ze szkółki, i chłopców z piaskiem, i niejeden świetny jegomość, oglądający po raz setny wiecznie też same ryciny u Pellizara, wkładając sobie na nos szkiełka, żeby nie być obcym przyczynie zgiełku. Wylatywali też ludzie ze sklepów i sklepików, z przedpokojów i kuchen, z podwórek i dziedzińców, otwierano okna na facyatkach, zbiegano ze schodów, wypytywano się, dziwowano. Byli i tacy, co sobie darować nie mogli, że nie widzieli początku widowiska; a maglarka z Podwala (nieco przykra kobięcina) wybiła nawet swe go, męża woźnego, skoro wrócił z trybunału, gdyż (jak powiadała), z przyczyny zbyt ранnego wyjścia jego z domu, nie mogła pójść na nabożeństwo żałobne, choć już miała na głowie chustkę przerabianą w kwiaty, a na rękę torbę haftowaną perłkami. Rozpowiadała zaś baba, która napomniała Juliana w kościele, że zaraz jak tylko wszedł ten człowiek, poznała że musi mieć czarta w sobie, co się też i sprawdziło niebawem, jak wszystko co tylko kiedy wyszło z ust jej; że go tymczasem zawieziono do prochowni, a za dni parę mają go egzorcyzmować. Ale Julian pojechał poprostu do bonifratrów, gdzie mu musiano włożyć kaftan przemocy i przykrępować go do łóżka, gdyż szaleństwo jego nie dało się ukrócić żadnym łagodniejszym sposobem.

X.

Pan Ignacy i Kornelia.

Kornelia długo była między życiem i śmiercią. Ale życie ma to do siebie, że się trzyma uparcie tam właśnie, gdzie go sobie najmniej życzą. Dlatego nie należy wierzyć lekarzom, którzy sobie przypisywali ocalenie Kornelii;—zresztą, sądząc ich nawet z tego co mówili jeden o drugim, wnosiłoby należało: że każdy z osobna wyleczył ją, a wszyscy inni jęj zaszkośli—co jednocześnie jest rzeczą niepodobną; dlatego lepiej przypuścić, że kassując się wzajemnie, zostawili ją matce naturze, a ta zrobiła w cichości, jak było zgodnie z wyrokami Boga. A kiedy raz już przeważało życie, przyszła młodość i owładnęła je całą potęgą swoich zasobów, tak iż wkrótce zapy-

tywała sama siebie Kornelia: czy podobna, ażeby wypadki których świeżość dolegała ją tak dotkliwie, były już do tego stopnia nie dzisiejszemi, że mieli czas zapomnieć o nich ludzie? Ale ludzie mają pamięć tak krótką...

Dnia jednego, właśnie kiedy się wybierała do kościoła, dano jej znać, że człowiek jakiś chce się z nią zobaczyć koniecznie. Człowiek ten często bardzo dowiadywał się o nią w czasie jej choroby, a później nieraz już domagał się żeby go wpuszczono,—dziś jednak natarczywiej niż kiedy. Powiada że ważny powód zmusza go być natrętnym—ale nie chce wymieniać nazwiska. Jest biednie ubrany—możeby go nie wpuszczać. Przeciwnie, jesto właśnie powód, żeby mu nie dać czekać długo. Prosić go. Wszedł nieznamy—był nim pan Ignacy.

Kornelia, ujrawszy go, pobladła lekko, potem się zarumieniła, zatrzymał się oddech w jej piersi i zmuszoną była wesprzeć się na poręcz fotele, z którego właśnie wstała, żeby przywitać gościa. On zaś spróbował poruszyć ustami, i naraz odeszła go wszelka pewność siebie z jaką się był wybrał; gdzieś się podziała śmiałość, której tyle miał przed chwilą jeszcze, i przekonał się z boleścią, że wyleciało mu z głowy wszystko co był przygotował, tak że już ani trafić do czegokolwiek. Olsnęło mu oczy wiele rzeczy, które przewidział dokładnie, a które wyszły na jego spotkanie jakby niespodzianka, jak niechętny gospodarz; i sam nie wiedział czem się to stało, ale zagnęła uczuła w duszy jakby wygnanie z raju, w którym upodobał sobie pobyt, włożywszy w to wszystkie swoje marzenia, chęci i pewności. Stał osłupiały, rozglądał się po wytwornych sprzętach salonu, poróżniwał go z izdebką poddasza, i znajdował między niemi przepaść, jakiej nie uważał nigdy przedtem; patrzył na żalobę Kornelii, zestawiał ją z szaleństwem swego syna, i czuł że w takich okolicznościach nie prawie niema do powiedzenia.

Młoda kobieta, opanowawszy swoje wzruszenie, podszła ku panu Ignacemu, podając mu obie ręce. Wtedy on, jakby zbudzony ze snu, wstrząsł się na dotknięcie tych rąk białych, otoczonych żalobą, spuścił oczy i wyszeptał z westchnieniem:

— Pani—pani—nie możesz już być żoną Juliana? wszak prawda.

Uwaga ta, odpowiadająca wewnętrznym myślom pana Ignacego, a tak niespodziana dla Kornelii, przeszła ją dreszczem od stóp do głowy; zachwiały się pod nią kolana i musiała usiąść, wskazując tylko w milczeniu gościowi swemu miejsce obok siebie. On nie śmiał się, tylko stał z zwieszoną głową, i jakby zabierając się do odejścia. Młoda kobieta szybko zrobiła ład w swoich myślach, i jednem spojrzeniem błagalnym zatrzymała go w miejscu.

— Panie Skalski, rzekła z trudnością, przez litość, powiedz mi, co się to stało dnia owego w kościele? Nie śmiałam pytać nikogo z obojętnych—nikt też z wyjaśnieniem nie spieszył. Julian—Julian—co się z nim dzieje.

— Julian jest obłąkany, rzekł stary głucho.

Młoda kobieta spuściła głowę, i kilka łez padło jej na piersi.

— Gdzie jest w tej chwili?

— U bonifratrów. Nie widziałem go od owego czasu. Nie chciało mię wpuścić, z obawy wrażenia.

Zerwała się, jakby posadzka buchnęła płomieniem pod jej stopami.

— Jedźmy tam—jedźmy natychmiast!

Zadzwoń. Wbiegł służący.

— Powóz w tej chwili!

Brała szal, kapelusze i rękawiczki, a drżała jak liść, i wszystko z rąk jej wypadło, niczego znaleźć nie mogła.

Pan Ignacy stał i dumiał. On orzeźwiał tym pośpiechem Kornelii, on począł marzyć po dawnemu, i zdało mu się znowu że dosyć tylko chcieć silnie—a szczęście przyjdzie.

Ale próżno powtarzał to sobie z uporem dziecka, próżno wmawiał w siebie nadzieję—coś nieubłaganie powtarzało mu w duszy: nigdy—nigdy—nigdy!...

XL.

Kornelia i Julian.

Kiedy przybyli na miejsce, przyjął ich u wejścia brat Anzelm, który tylko co wrócił z kwesty po mieście. Byłto niewielki człowieczek, niematego nosa, przenikliwych, czarnych oczu, któremi, z wprawą właściwą swemu powołaniu, jął się badać natych-

miast, kto też z tych dwojga państwa zostanie na miejscu, a kto spokojnie odjedzie do domu. Widząc pomieszenie obojga, nie mógł trafić do ładu. Raz przypuszczał że to Kornelia przywozi pana Ignacego, to znowu że on Kornelią. Wreszcie wziął ich oboje za obłąkanych,—ale znowu nie było jeszcze wypadku, żeby waryat przywiózł waryata. Skoro się przeświadczył że tu idzie wcale o co innego, pobiegł uwiadomić przełożonego i wrócił niebawem.

— Chorego widzieć już można, rzekł do swoich gości. Proszę z sobą.

Wśród drogi zatrzymał się chwilę, zawahał, i zwracając się do Kornelii:

— Tylko—czy będziesz pani miała odwagę widzieć go związanego? przemówił nieśmiało. Bo chory ten cierpi szaleństwo i rzuca się na ludzi—dlatego zmuszeni bywamy używać względem niego środków poskramiających. Jestto widok przykry i smutny.

Młoda kobieta w milczeniu zasłoniła tylko twarz chustką i szła dalej...

Przewodnik uchylił drzwi osobnej, mocno okratowanej izby i zatrzymał się, żeby przepuścić odwiedzających. W izbie tej, nie mającej żadnych sprzętów, tylko cztery nagie ściany, z małym oknem w górze i wyobrażeniem ukrzyżowanego Zbawcy nade drzwiami, leżał nieszczęśliwy na tapczanie wysuniętym na środek, przykrepowany na wznak silnemi pasami, tak że prócz głowy, nie miał żadnego członka wolnego. Miał oczy przymrużone—zdawało się że śpi. Wskowo-błada twarz jego, usta drżące, szybki oddech i zarazem jakiś rodzaj bezwładności, zdający się czynić niepotrzebnymi wszelkie środki bezpieczeństwa,—przedstawiły obraz wyczerpania fizycznego, które następuje zwykle po rozpuszczeniu duszy.

Stary Skalski i Kornelia uczuli się przykutemi do miejsca. Stali tak czas jakiś, nie śmiać się ruszyć z obawy szalestu,—zapierało im oddech w piersi—bicie ich serca usłyszały w powietrzu.

— Julianie, szepnął wreszcie ojciec.

Otworzył oczy, powlókł wzrokiem po obecnych, ale nie poznał Kornelii—nawet nie zdawał się jej uważać. Natomiast utkwiał spojrzenie w pana Ignacym, i widać było, jak w tém spojrzeniu ważyła się myśl którą przywoływał.—Błyski rozumu krzyżowały się tam z mętami obłądzenia, i według tego, to łagodniał wzrok biedaka, to dziczał—jakby w miarę korzyści walki na tę lub ową stronę.

Znagle zaszły krwią te oczy, twarz trysnęła rumieńcem, jakiś dreszcz osobliwszy przebiegł strumieniem wszystkie członki obłąkanego, tak iż w oka mgnieniu wezbrały i wzmożyły się niesłychanie; zgrzytnął i wyprężył się, aż mu chrzęstało w stawach.

— Precz! precz! ryknął ochryplym głosem; toś ty zabił Artura!...

Anzelm zbliżył się i rzekł:

— Skróćcie już państwo swoje odwiedziny, które, jak się pokazuje, są przedwczesne. Chory ten jest więcej niż nieprzytomny.

— Tak, tak, on jest szalony, rzekł pan Ignacy, jakby budząc się z zamyslenia.

Kornelia, blada, bez tchu prawie, ważyła w myśli słowa obłąkanego. Oskarżenie to, w obec niedość wyjaśnionych okoliczności śmierci jej męża, zdawało się mieć pozory prawdopodobieństwa.

Spojrzała na pana Ignacego,—nie zdołał wytrzymać tego spojrzenia i spuścił oczy. On w niem znalazł sąd, przypuścił możność potępienia i po raz pierwszy uczuł potrzebę obrony. Przeszył go dreszcz zwałpienia o dobroci swęj sprawy; ni ztąd ni zowąd spytał siebie: czy godziło mu się nie przebierać w środkach? czy droga, którą poszedł tak uparcie, prowadzi dokądkolwiek? wreszcie czy podobna, choćby największą stałością woli, przemódz zrządzenie Boże? I wzdygnął się, słysząc w duszy jedną tylko na wszystkie swoje pytania odpowiedź:—nigdy!...

Kiedy się opatrzył, znalazł się sam jeden, idący niewiedzieć dokąd. Parno było w powietrzu, a jego dreszcz przechodził.

Wstąpił napię się czego, i pił, a jakoś nie szło w pożytek.

Rozpatrywał się wokoło, wstępował w siebie—a wszędzie i do wszystkiego niesmak tylko uczuwał.

— Czyż go istotnie zabiłem? rozbierał nieustannie; i powstawała mu w duszy wątpliwość, jakiej dotąd nie bywało.

— Ależ—Julian wreszcie... cóż on winien temu?

I próżno usiłował związać te dwa stosunki; myśl wymykała mu się, ilekroć sądził że trafia właśnie na wywody logiczne. Polował na nią, jakby na muchę

uprzykrzoną—i jak mucha padała martwa i nie wiedząca czego chciał od niej.

Stopniowo pociemniało w izbie, zapalono świeczkę na szynkwasię i zaczęło się schodzić coraz więcej gości. Zjawiała się też i katarynka. Zrobiło się wesoło; gwarno, a wreszcie i bałaśliwie; ale panu Ignacemu nie było inaczej jak pochmurno, i gwar szumiał tylko w jego uszach, jakby dalekie brzęczenie.

Trudno wiedzieć ile wypił półkwaterek przy tém zaprzątieniu ducha, rzecz tylko pewna, że kiedy spróbował pójść do domu, nie mogąc trafić do niego żadną miarą, wrócił nazad i przespał się pod ławą, w sposób wcale ponury,—ale i przebudzenie się nie było lepsze...

(Dokończenie nastąpi).

Aleksander Stadnicki.

Aleksander Stadnicki należał do tych niewielu publicystów, co uważają naukę dziejów w ogóle, a dziejów prawodawstwa i społecznych stosunków w szczególności, za główną podwalinę publicystyki.

Potomek znakomitego niegdyś w dziejach rodu Stadnickich ze Zmigroda (linii młodszej), poświęcił większą część życia swego naukom, żyjąc ze szczerą i znaczną niegdyś fortuną w skromności, którąby przodkowie jego ubóstwem mienili, i bardziej w gronie literatów szukał związków przyjacielskich, niż w tej warstwie towarzyskiej, z którą go łączyły stosunki rodzinne.

Urodził się Aleksander Stadnicki dnia 27 lutego 1806 r. w Cieklinie (w obwodzie jasielskim w Galicyi). Ojcem jego był Antoni Stadnicki, autor kilku dzieł, z których *Rys krótki historii ludu żydowskiego w Europie* wyszedł w r. 1834 u Czecha w Krakowie, *Spostrzeżenia nad wiekiem XIV* zostały wydane tamże w r. 1837, zaś *Pamiętniki od r. 1775 do 1820* pozostały dotąd w rękopiśmie. Antoni Stadnicki przeleżał na dwóch synów swoich zamiłowanie do nauk. Kazimierz (żyjący dotąd młodszy syn) jest autorem: *Piastów, Synów Gedymina, Rodowodu Stadnickich* (dzieła wielce uczonego, oparte na przeszło ośmiuset nieznanych dotąd archiwalnych dokumentach, które nie tylko dla dziejów rodziny Stadnickich, lecz w ogóle dla dziejów krajowych niemajął są wagi) i kilku innych prac uczonych.

Aleksander Stadnicki nierychło wystąpił w świecie literackim, gdyż zostając od r. 1826, w którym ukończył na uniwersytecie wiedeńskim nauki prawnicze, aż do r. 1844 w służbie rządowej, nie mógł się oddawać z taką usilnością literaturze, jakiej zawód ten wymagał. Nie była wszakże służba rządowa bezpożyteczną dla tego zawodu; wyniósł z niej Stadnicki gruntowną znajomość prawodawstwa i praktyczny pogląd na stosunki społeczne, równie jak administracyjne kraju naszego. W połączeniu z głębokiem znawstwem dziejów i prawodawstwa polskiego, posłużyło mu to do tém wytrawniejszego opracowania najważniejszych kwestyj publicznych. Wkrótce po wystąpieniu ze służby rządowej, w r. 1844, przedłożył ówczesnemu sejmowi galicyjskiemu projekt: *Nadania użytkowej własności włościanom*. Wskazuje ta praca, że Stadnicki umiał połączyć zawód uczonego, z obowiązkami obywatela. Nie on jeden poczytywał usamowolnienie i uwłaszczenie włościan za jedno z najważniejszych zadań obywatelstwa naszego; wiemy że myśl ta była rozpowszechnioną w kraju i że inicjatywa obywatelstwa w tej sprawie nie z jego winy udaremnioną została. Ówczesna praca Stadnickiego została bez skutku, bo rok 1848 dopiero zdziałał wielką reformę społeczną, do której on już cztery lata przedtem czynił wnioski. To go wszakże nie odstręczyło od dalszych, niemniej zbawiennych dla stanu włościańskiego propozycji. Wypracował plan: *Zaprowadzenia ksiąg gruntowych dla majątków włościańskich*. Sprawa ta uregulowania i ubezpieczenia praw własności w kraju, nie jest dotąd załatwioną. Lecz Stadnicki nie ustawał w zajmowaniu się stosunkami włościańskimi. Napisał drukowaną w dodatku do *Gazety Lwowskiej* gruntowną rozprawę: *O spadkach włościańskich w Galicyi*, rzeczą do historii prawodawstwa (w r. 1856) i *O urzędowaniu gmin*. Nareszcie należą do prac jego publicystycznych rozprawy: *O prawie przeciwko lichwie*, z wielką znajomością rzeczy napisane porównanie rozmaitych prawodawstw w tym przedmiocie, z wywodem stosownych wniosków; *O autonomii* i kilkanaście innych drobniejszych artykułów, w różnych krajowych dziennikach wychodzących we Lwowie i Krakowie od r. 1848 ogłaszanych.

Inne prace jego wpadają bardziej w zakres badań

dziejowych i stanowią cenny materiał do dziejów prawodawstwa i stosunków społecznych w Polsce. W r. 1848 wydał rozprawę: *O wsiach tak zwanych wołoskich na północnym stoku Karpat* (we Lwowie, w drukarni zakładu Ossolińskich); w r. 1853: *O książkach we wsiach wołoskich, z poglądem na wójtostwa we wsiach na prawie magdeburksiem osadzonych* (w drukarni Gazety Lwowskiej). W r. 1854 ogłosił w dodatku do Gazety Lwowskiej: *O byłych wybraniectwach*; w r. 1856 także: *Materyały do historii miast galicyjskich*, mianowicie: akta ławnicze tarnopolskie, szczurowieckie, kulikowskie i pamiątki miasta Żółkwi. W r. 1858 drukował w tymże samym dodatku: *Wykład popularny statutów wiślickich*, który poprzedził wielce gruntowną pracę jego pod napisem: *Przegląd krytyczny rozporządzeń tak zwanego statutu wiślickiego*, podług przedmiotów, z uwzględnieniem poprawnej wersji dra A. Z. Helcla, drukowaną w Bibliotece Warszawskiej itakże osobno wydana.

W ostatnich chwilach życia wypracował Aleksander Stadnicki pod tytułem: *Materyały do historii społecznej Rusi w wieku XIV*, wielce szacowną rozprawę, popartą mnóstwem dokumentów zebranych z wielkim kosztem i kosztem po archiwach krajowych. Praca ta wraz z drugą: *Dodatki do herbarza Niesieckiego co do ziemian osiadłych na Rusi Czerwonej w XIV wieku*, przeznaczoną jest do pisma, które zamierza w tym roku wydać zakład Ossolińskich.

Skończył Stadnicki, jak dobry żołnierz na polu bitwy, właśnie bowiem gdy napisał ostatnią głoskę w „*Materyałach*“ razita go nagła śmierć.

Pozostały po nim w rękopiśmie: *Materyały do dyplomatury Rusi Czerwonej*, które wszakże wymagają dopełnienia i uporządkowania, nim będą mogły być drukiem ogłoszone.

Jak wielce myśli jego były zajęte otworzeniem dla świata skarbów historycznych, ukrywających się po

archiwach, tego najlepszym dowodem jest testament spisany w roku 1855, którym przeznaczą, pod pewnymi warunkami, cały swój majątek, wynoszący do 160,000 złp., na wydawanie dokumentów ważnych z archiwów grodzkich ziem ruskiej, złożonych w archiwum rządowym we Lwowie. Ubolewać jednak należy iż testament ten, napisany w oczywistém rozterganiu, zawiera w sobie sprzeczności, które wykonanie pięknego zamysłu zapewne niepodobnóm u-

czynią. Dla zbitcia puszczonego już o tym zapisie w obieg pogłosek mylnych i dla zapobieżenia dalszym, przytaczamy dosłownie odpowiedni ustęp testamentu:

„... procenta (od kapitałów wyliczonych poprzednio, z których się składa majątek zmarłego) mają być dzielone w równych częściach między wszystkich moich braci: Kaźmirza, Władysława i księdza Zygmunta, a po śmierci któregokolwiek z nich mają je żyjący pobierać... Po zgonie ostatniego z moich braci,

cały mój majątek ma być obrócony na wydawanie dokumentów w archiwum tutejszém tak zwaném bernardyńskim we Lwowie znajdujących się, od najdawniejszych poczynając, aby po mojej śmierci dzieło wyszukiwania i wydawania pomyślników krajowych, któremu kilka lat życia mego poświęciłem, na większą skalę mogło być przedsięwziętém. Gdyby atoli w tém jakiegokolwiek trudności ze strony wysokich rządów zachodzić miały, tak żeby w przeciągu czterech lat od mojej śmierci wydawnictwo to stanowczo urządzoném i rozpoczętém nie zostało, cały mój majątek ma być poświęcony na podniesienie choć jednej wieży kościoła katedralnego tu we Lwowie, aby w mieście, w którym większą część życia przepędziłem, choć jaką pamiątkę po sobie pozostawić, i t. d.“

Wydawnictwo dokumentów ma się tedy rozpocząć po śmierci ostatniego z braci ś. p. Aleksandra Stadnickiego, a przecież najdalej we cztery lata po śmierci samego testatora. Ponieważ zaś spodziewać się należy, iż ani Opatrzność nie zechce w tak krótkim terminie obdarzać potomności kosztem życia trzech jego braci w sile wieku będących, ani też potomność taką ofiarą nieradaby okupić uiszczenia pięknych zamysłów testatora, których wykonanie prócz tego jeszcze bardzo jest wątpliwe, z powodu trudności wspomnianych przez Stadnickiego, więc zapis ten zapewne pozostanie tylko pomyślnikiem dobrych chęci testatora i szlachetnym przykładem dla innych. K. W.

ILLUSTROWANE PRZYSŁOWIA.



RĘKA RĘKĘ MYJE.

FABIAN.

Hej! hej! Kacperku, czekaj!

KACPER.

A to czemu?

FABIAN.

Oto

Idzie pani z fałbaną, to zagarnie błoto; Poco mamy drzeć miotły, poco machać ręką? Ta pani nas wyręczy swą długą sukienką.

KACPER.

Oj, pociecha dla męża! a czyż to nie szkoda? Taka droga materya..

FABIAN.

Ha, widzisz, bo moda, A dla mody, to każda skoczyłaby w piekło.

KACPER.

Śliczna moda, żeby się po kałużach wlektło.

FABIAN.

Musiał im to ktoś kazać, bo przecież u kata, Gdzież porządna kobieta suknią błoto zmiata?

KACPER.

Ba, człowieka nie przejrzyś, kto ją tam zna wreszcie,

Czyż z samego ubioru może być kto mądry?

FABIAN.

Oj może. Ja przysięgnę że błoto po mieście Zagarniają sukniemi same tylko ślady, A porządna niewiasta zagina sukienkę.

KACPER (uchylając czapki).

Dobrze mówisz, Fabianku. Niech pani Bóg szczęści, Że nas w pracy wyręczasz, boć zgrabiały pięści, Gotowiśmy odslużyć—ręka myje rękę.

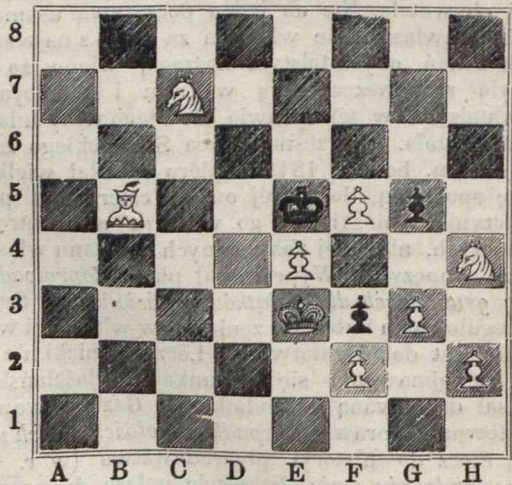
SZACHY.

(Józef Kohn ze Lwowa).

ZADANIE CI.

Białe zaczynają i dają mata za czwartém posunięciem.

Czarne.



Białe.

Rozwiązanie zadania szachowego Nr. 400.

Białe.

Czarne.

- 1) A 4 — G 4 1) koń gdziekolwiek
- 2) G 4 — H 4 † 2) G 5 — H 4 biorą
- 3) G 2 — F 4 † i mat.

REBUS.



Znaczenie rebusa umieszczonego w Nr. 127.

Karnawał.